

## Rafał Wojaczek

### NA IMIENINY RAFAŁA WOJACZKA

Ktoś,  
Kto kocha  
Nie jest tym, co  
Umrze.

Więc choć skądinąd wie, że śmierć poufnie  
Dowiadywała się nawet u księży  
I przodowników policji,  
Wierzy.

Ktoś,  
Kto wierzy  
Nie jest tym, co  
Żebrze.

Więc choć go bolą wszystkie rany cięte  
Siekierą światła aż do kości rdzenia,  
Swoje powietrze łykając  
Czeka.

Ktoś,  
Kto czeka  
Nie jest tym, co  
Kupi.

Więc choć odmienia imię swej zasługi  
Przez pory roku i księżycą kwadry,  
Gorzka sól klęski siada na  
Wargi.

## WIECZNA AKTUALNOŚĆ NAJWYŻSZĄ CNOTĄ SZTUKI

Wspólnie wzięliście waszą martwą siostrę  
Jeden za nogi drugi za głowę ujął  
I ponieśliście niedaleko O tu właśnie  
W kącie podwórka żeście ją złożyli

I złożyliście dłonie do modlitwy  
Tylko że słów wam brakło Jakoś  
Zapomniało wam się więc z tej złości  
Rzuciliście się na nią i na nowo

Obudzili: między nogi wetknęli kij od miotły  
Aż poruszona tym gwałtem otworzyła oczy  
Powiedziała jakieś słowo Uśmiechnęła się

A wy krzyząc: dziwka jaka dziwka  
Bez modlitwy uciekliście zostawiając  
Ją w tym kącie na kolejną śmierć

## MARTWY SEZON

Zjechałem tu nie w porę  
Sezon jeszcze nie otwarty  
a już miejscowi mówią  
że tu się nic nie zacznie

Wczoraj  
widziałem wyniesiono w kubelku  
pana profesora taki był mały  
Tak, tu się ludzie kurczą  
oszczędność na jedzeniu  
i deskach na trumnę

Pan profesor  
Pan profesor to była cała epoka  
Ciagnął za sobą nogę  
To był ślad  
po ostatniej kochance pana profesora  
miała na imię Andrzej  
Tak, tu już nic się nie zacznie

Tak, zjechałem tu nie w porę  
kto żyw  
ten umiera pośpiesznie  
jedną wolną już salę  
zamieniono na składzik  
pewnie już niedługo  
założą tu kłamki

Tak, to już jest koniec  
Myją korytarz  
Pastują podłogi

1965

## **DAMSKI KLUB**

Chodzą wokół zielonego drzewka  
Wokół choinki chodzą całkiem nago  
A każda trzyma w prawej ręce świecę  
A każda świeca nierówno się spala

A lewą ręką każda każdą drapie  
Drapie ją w plecy aż do krwi ją drapie  
Potem przykłada świecę do krwawiącej rany  
Potem porzuca świecę i pod drzewkiem kuca

Kucają wokół zielonego drzewka  
Rodzą potworki tureckim sposobem  
A potem jakby całkiem zapomniały  
Gdzie były co robiły  
Ubierają się i wychodzą

*30 IX 1965*

## PIOSENKA O POECIE

Ponieważ bity jest ciągle jak dziecko,  
Poeta, sztuki nie znający wcale,  
Pięść poematu zaciska i bije.

Bije kobietę, bowiem się podmywa,  
Wyciska wągry oraz się maluje.  
Bije swą żonę za to, że kobieta.

I za to samo bije swoją matkę.  
I ojca bije za to, że z nią jest.  
Władzę opluwa prędkimi stychami.

I tłucze szyby rymem i kopniakiem  
Akcentu główkę embriona w macicy  
Przetrąca tak, że matka syna pozna

Po idiotyzmie, z którym się urodzi.  
Poeta także inne rzeczy robi,  
Ale już wtedy przestaje nim być.

1968

## KONIEC POEZJI

Koniec poezji winien być w ciemnej sieni czynszowej  
Kamienicy kapustą woniejącej wychodkiem  
Winien niespodziewanym błogosławieństwem być noża  
Pod łopatkę lub łomu w skroń zwięzłym jak amen

Bowiem winien być czołgiem rozpędanego nieba  
Koniec poezji winien być szybszy nawet od myśli  
By krzyknąć co mogłoby oznaczać bunt czy żal  
Koniec poezji winien być niegramatyczny

\* \* \*

Sól w nasze rany, cały wagon soli  
By nie powiedział kto, że go nie boli

Piach w nasze oczy, cały Synaj piasku  
By nie powiedział kto, że widzi jasno

Głód w nasze trzewia, suche kromki głodu  
By nie powiedział kto, że nie wie co głód

But w nasze krocza, kopniaków choć tysiąc  
By nie powiedział kto, że splodziłby co

Knut w nasze głowy, sto pałek umyślnych  
By nie powiedział kto, że sobie myśli

Strach w nasze serca, tyle grozy gęstej  
By nie powiedział kto, że nie zna lęku

I salwę w płuca czy też sznur na szyję  
By nie powiedział kto, że jeszcze żyje

## KONIEC ŚWIATA

To mogło być we wtorek albo w piątek  
Niewykluczone też że w poniedziałek lub w środę  
A równie dobrze w czwartek sobotę czy w niedzielę  
W styczniu lecz także w lipcu zgódźmy się  
Że to przecież nie jest takie ważne  
W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym  
Zdaje się - którymś rano lub o zmierzchu  
W samo południe albo o północy  
W pogodę słoneczną może w deszcz może w czas zamieci  
Na własnym pasku powiesił się  
Na czymś stosownym czy nie na rurze od bojlera  
Dwudziestoilustamletni skończony alkoholik  
Rafał Wojaczek syn  
Edwarda i Elżbiety z domu Sobeckiej

1970



## **Marcin Świetlicki**

### **Pod wulkanem**

Po zdjęciu czarnych okularów  
ten świat przerażający jest tym bardziej.  
Prawdziwy jest. Właściwe barwy  
wpełzają we właściwe miejsca.  
Wąż ślizga się po wszystkim, co napotka.  
Właśnie nas dotknął.

Niczego o nas nie ma w Konstytucji.

Śnieg spadnie i zakryje wszystko.  
Na razie widać jednak miasto  
- czarną kość rozjaśnianą niekiedy światłami  
maleńkich samochodów, usiadłem wysoko  
i patrzę. Wieczór. Już zamknięte  
wszystkie wesołe miasteczka.

Niczego o nas nie ma w Konstytucji.

Po zdjęciu czarnych okularów  
ten świat przerażający jest tym bardziej.  
Szedł z nami pies i śmierdział. Wszystkie dokumenty  
uległy rozkładowi. Wszystko, co kochałem  
uległo rozkładowi. Jestem zdrow i cały.

Pod wulkanem  
urodziło się  
DZIECKO!

## **Palenie**

Pytam: dlaczego niepalący  
wsiadają bez skrępowań do przedziałów  
dla palących? Czemu chcą dominować? Czemu  
są wiecznie urażeni?

Mój mały przyjacielu, papierosie.  
Spędziłem z tobą więcej czasu niż z kimkolwiek.  
Niszczymy się nawzajem, czule  
zobowiązani.

Pytam: dlaczego niepalący  
nie doceniają naszej samotności,  
naszej niemądrej odwagi, naszego  
żaru, popiołu?

## **Z martwych**

Nowe życie wymaga nowych kobiet. Oto  
wyobraźnia już tłoczy obrazy pośladków,  
klęsk, brudnych nóg i włosów,  
piegów, kosmetyków.

Nowe życie i wiele rozmów typu "martwię  
się o siebie", odbytych po to, by sumienie  
nasycić, nowe życie, noc wypiera noc, pogrzeb  
na wyścigi z pogrzebem.

Kiedyś się zdecyduję, teraz jeżdżę, nie wiem,  
wrócę, jeżeli spełni wreszcie się  
mój jedyny warunek, skoro prawa nie mam  
do stawiania warunków, postawię sam sobie

wódkę, warunek wysłowie, nie usłyszę go.

## **Nowe porządki**

Sporządniał, śpi  
nie chaotycznie, byle  
gdzie.

Pije  
wcześnie, nie jeździ  
taksówkami nocą.

Syn którejś nocy mu rękę położył na ustach,  
żeby sprawdzić, czy aby na pewno oddycha  
-zawsze będzie oddychał, jakkolwiek  
zdecydowano, jakkolwiek

będzie zdecydowane.

## K

Dzisiaj dostałem pismo od państwa.  
Państwo chce, bym się zgłosił w stosownym urzędzie.  
Państwo nie prosi, państwo żąda.  
To niemożliwe przecież  
oczekiwać by  
państwo prosiło,  
żąda państwo.  
Ale ja umarłem,  
ja umarłem.

Nie chodziłem głosować  
na urzędników państwa.  
Sam sobie jestem winien.  
Nie brałem państwowych kartek  
na państwową wódkę,  
państwowe papierosy  
i państwową mąkę.  
Nie brałem państwa talonów  
na bony państwowe.  
Sam sobie jestem winien.  
Muszę wyznać, że jednak  
podstępnie korzystałem  
z państwa komunikacji.  
Ale ja umarłem,  
a umarłym przecież  
przebacza się łatwiej.

Czasami z przyzwyczajenia  
golę się, lecz zarost  
rośnie nawet umarłym.  
Czasami z przyzwyczajenia  
wchodzę w jakieś kobiety,  
czasami je zapładniam,  
ale rodzą wyłącznie  
widmowych pogrobowców.  
Ja umarłem.

Czasami piszę wiersze  
i wiem, że w ten sposób  
sprawiam przykrość państwu.  
Jeśli wezwanie to dotyczy  
akurat tego faktu,  
to nie zamierzam się tłumaczyć.  
Jakże umarły może się tłumaczyć?  
Jeśli umarli mogą być  
zagrożeniem dla państwa,  
jeśli nie są bezkarni,  
to tak widocznie musi być,  
nie mogę umrzeć bardziej...

## Dla Jana Polkowskiego

Trzeba zatrzaskać drzwiczki z tektury i otworzyć okno,  
otworzyć okno i przewietrzyć pokój.  
Zawsze się udawało, ale teraz się nie  
udaje. Jedyne przypadek,  
kiedy po wierszach  
pozostaje smród.

Poezja niewolników żywi się idea,  
idee to wodniste substytuty krwi.  
Bohaterowie siedzieli w więzieniach,  
a robotnik jest brzydki, ale wzruszająco  
użyteczny – w poezji niewolników.

W poezji niewolników drzewa mają krzyże  
wewnątrz – pod korą – z kolczastego drutu.  
Jakże łatwo niewolnik przebywa upiornie  
długą i prawie niemożliwą drogę  
od litery do Boga, to trwa krótko, niby  
spluniecie – w poezji niewolników.

Zamiast powiedzieć: ząb mnie boli, jestem  
głodny, samotny, my dwoje, nas czworo,  
nasza ulica – mówią cicho: Wanda  
Wasilewska, Cyprian Kamil Norwid,  
Józef Piłsudski, Ukraina, Litwa,  
Tomasz Mann, Biblia i koniecznie coś  
w jidysz.

Gdyby w tym mieście nadal mieszkał smok  
wysławiali by smoka – albo kryjąc się  
w swoich kryjówkach pisaliby wiersze  
– małe piąstki grożące smokowi  
(nawet miłosne wiersze pisane by były  
smoczymi literami...)

Patrzę w oko smoka  
i wzruszam ramionami. Jest czerwiec. Wyraźnie.  
Tuż po południu była burza. Zmierzch zapada najpierw  
na idealnie kwadratowych skwerach.

## **Alibi**

Śni się alibi.  
Umrę teraz, bo nie chcę  
umierać w samotności.

Umrę teraz, objęty  
i spokojny. Zanim  
dzień powie prawdę.

## Jacek Podsiadło

\* \* \*

Kra płynie rzeką i chrzęści.  
Miała się zęby i pięści.  
Ścisnąć tak, ścieśnić, zagęścić  
język, by chociaż po części  
upchnąć w nim wstyd, i nieszczęście.

Triumfuj, zwycięski kaleko.  
Cześć iksom. Chwała igrekom.  
Kra chrzęści i płynie rzeką.  
Zbrylone, mordercze mleko.  
Morze jest już niedaleko.



## Kiedy urodzę się na nowo

*Dobromirowi Kozuchowi*

Kiedy urodzę się na nowo,  
zwykły - z rękami, z fiutem, z głową,  
to ty już miej tam, wiesz, gotową...  
Żytnią? Żubrówkę? Żołądkową?

Kiedy na nowo się urodzę,  
to będzie zwykły dzień. Jak co dzień.  
Jak święta Łucja, to po wodzie.  
Przyjdę. Wyglądał będę młodziej.

Że niedzisiejszy, nietutejszy,  
przyjdę nieśmiałym kroczeniem gejszy,  
cichy jak szpieg, dwa razy mniejszy.  
I nasłuchiwał będę. Węszył.

Przyjdę o czwartej pięć, jak mistyk.  
Mydlanym krokiem opiumisty.  
Bezwonny i pół-przezroczysty.  
I perwersyjnie uroczysty.  
A cień mój straszny i zwęglony  
nie przyjdzie za mną z tamtej strony,  
wreszcie granice i kordony  
przydadzą się. Nowonarodzony

mogę być mdły i nawrócony,  
jeżeli chcesz. I co dzień z rana  
wraz ze Stachurą na kolanach  
stać mogę przed wschodzącym słońcem.

Tak aż do końca. A przed końcem,  
ponieważ ciągle będzie wcześnie,  
pójdę do sadu rwać czereśnie,  
rude i pogrążone we śnie.

Mój Ojciec w niewygodnym grobie  
pogratuluje chyba sobie,  
że mu na nowo się urodzę,  
choć pewnie znów tu coś przeskrobie.

Spał będę w nocy, a nie w dzień.  
Już nikt nie powie o mnie: leń.  
Jeszcze się przydam. Dzieci spłodzę,  
kiedy na nowo się urodzę.

Spał będę w lesie, jak ten śmieć.  
Jadł będę szron, szadz, śnieg i śniedz.  
I kto by jeszcze śmiał mnie mieć,  
kiedy na nowo się urodzę ?

I choćby Michał Ochy zdychał,  
to póki jeszcze będzie dychał będzie  
miłował swego syna  
i się go trzymał, trzymał, trzymał.

Więc jak natchnione chuje z drzewa  
próbujmy własne pieśni śpiewać.  
Któż nasze słowa nam podpowie,  
jeżeli nie nasi synowie?

Każdy we własną zadmie surmę.  
Natrzemy we trzech, czyli hurmem  
Weźmiemy sobie siebie szturmem.  
Zdamy egzamin. Wtedy umrę.

### **Hoduję dla ciebie żurawia (piosenka)**

Hoduję dla ciebie żurawia w kenozoicznym ogrodzie,  
wytresowany Czukcza karmi go pchłami. Mam Wisłę  
sztuczną jak uśmiech skazańca, mam płaskodenne łodzie,  
mieszkanie w mydlanej bani, ach, w snach, które lekko przysły.

Tam Eugeniusz i Herkus pławiają się w Pseudobałtyku,  
a Estonia wygrywa z Boliwią bitwę o Litwę.  
Żmije łykają kije, śmierć serce ma na patyku  
a tonącemu podaje się płyn po goleniu, nie brzytwę.

Zaciągam się papierosem i puszcza dla ciebie nosem  
jedwabne wstęgi Möbiusa, znikome nieskończoności.  
Karaibskie dziewczyny snują się wokół, bose.  
I Karaibkę na bibkę zapraszam ku obopólnej radości.

I jeszcze przerabiam na prąd smutne, minione stulecia.  
Bo wiesz, w historii jest wielki, niewykorzystany potencjał.  
Żuraw jest z gąbki i octu, żeby mi nie odleciał.  
A Czukcza, choć kastrat, chce nawiać do Inowrocławia, więc ja,

kiedy już tego żurawia zapuszczam w ten ogród, to myślę,  
jak trudno jest stworzyć stworzenie, które by nie uciekło.  
Choć Wisła jest ci potrzebna, bo lubisz przyglądać się Wiśle,  
to wiem: wymyślając ci raj, zgotowałem ci piekło.

## Godziny po

Noc zanurzona w sobie jak palacz opium.  
Krew, zmęczona wartowniczką, leniwie okrąży ciało.  
Niechętna poduszce głowa ciąży ku górze,  
czepia się pułapek światła, wpada we własne sidła.  
Trzeba wyjść z domu, stanąć obok samego siebie:  
śpią góry jak święte krowy i cisza rozgarnia las,  
na horyzoncie majaczy w malignie Śnieżka,  
jej westchnienie stapia się z rżeniem koni  
zapomnianych przez wieczór, niknie wśród gwiazd.  
Nie ma poezji. Nie ma poety.  
Przytrzaśnięty drzwiami  
w szczelinie światła  
zgasł.

## **Polowa definicji**

Podnosząc pokrywkę garnka z rosółem  
widzę kury rozgrzebujące słomę na podwórzu.  
Patrząc na kury widzę rosół.  
I to jest całe moje nieszczęście  
- chciałbym powiedzieć - ale  
to jeszcze nie jest całe  
moje nieszczęście.

\* \* \*

prosiłem dziewczynkę  
- narysuj mi Droge  
dom  
drzwi okna  
i dym z komina -

narysowała wszystko  
w kreskach deszczu  
- ale ty jesteś w środku pod dwiema pierzynami -  
mówiła

podziękowałem  
zabrałem rysunek i odszedłem

- zaczekaj jeszcze piorun -  
krzyknęła wyjmując czerwoną kredkę

\* \* \*

chciałbym wierszem zmienić świat  
albo chociaż jednego człowieka  
albo choć jedną jego decyzję  
- powstrzymać niewłaściwy gest lub słowo

jestem w stanie napisać taki wiersz  
ale powstrzymam się jeszcze